



BERNARD
Cornwell

WOJNY
WIKINGÓW
TOM VIII



PUSTY
TRON



BERNARD
Cornwell

PUSTY
TRON

TŁUMACZENIE
PAWEŁ LIPSZYC


OTWARTE
KRAKÓW 2019

Tytuł oryginału: The Empty Throne

Copyright © Bernard Cornwell 2015

Copyright for this edition © Wydawnictwo Otwarte 2019

Copyright © for the translation by Paweł Lipszyc

Opracowanie tłumaczenia: Emilia Rydzewska

Wydawca prowadzący: Olga Orzeł-Wargskog, Monika Rossiter

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: d2d.pl

Projekt okładki i wyklejek: Eliza Luty

ISBN 978-83-7515-564-8



www.otwarte.eu

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

PROLOG

Nazywam się Uhtred. Jestem synem Uhtreda, syna Uhtreda, którego ojciec również miał na imię Uhtred. Mój ojciec zapisywał swoje imię Uhtred, ale widywałem też pisownię Utrede, Ughtred czy nawet Ootred. Niektóre z tych imion można znaleźć na starodawnych pergaminach zaświadczających, że Uhtred syn Uhtreda i wnuk Uhtreda jest jedynym prawowitym właścicielem gruntów, starannie wyznaczonych przez kamienie, groble, dęby, jesiony, mokradła i morze. Ziemia ta leży na północy kraju, który nauczyliśmy się nazywać England. To ziemia smagana przez fale, pod wietrznym niebem. Nazywamy ją Bebbanburg.

Po raz pierwszy ujrzałem Bebbanburg dopiero jako dorosły mężczyzna. Nasz pierwszy atak na wysokie mury zakończył się niepowodzeniem. W owym czasie tą potężną fortecą dowodził bratanek mego ojca. Jego ojciec ukradł ją mojemu ojcu. To była rodowa pomsta. Kościół usiłował ją powstrzymać, twierdząc, że nieprzyjaciółmi wszystkich saskich chrześcijan są poganie z Północy, zarówno Duńczycy, jak i Norwegowie, ale mój ojciec kazał mi przysiąc, że przystąpię do rodowej pomsty. Gdybym odmówił, ojciec by mnie wydziedziczył, tak jak wydziedziczył mojego starszego brata, nie dlatego, że ten nie chciał przystąpić do rodowej pomsty, ale dlatego, że został

chrześcijańskim kapłanem. Niegdyś nazywałem się Osbert, ale kiedy mój starszy brat został kapłanem, dostałem jego imię. Nazywam się Uhtred z Bebbanburga.

Mój ojciec był poganinem, wojem i budził lęk. Często mi mówił, że bał się swego ojca, ale trudno dać temu wiarę, ponieważ najwyraźniej niczego się nie bał. Wielu ludzi uważa, że gdyby nie mój ojciec, nasz kraj nosiłby nazwę Daneland i oddawalibyśmy cześć Thorowi oraz Wodanowi. To prawdziwe słowa, prawdziwe, ale i osobliwe, albowiem mój ojciec nienawidził chrześcijańskiego boga, nazywał go ukrzyżowanym bogiem. Pomimo tej nienawiści większość życia poświęcił na walkę z poganami. Kościół nie przyzna, że Englaland istnieje dzięki mojemu ojcu – utrzymuje, że kraj stworzyli i podbili chrześcijańscy wojownicy, ale mieszkańcy Englalandu znają prawdę. Mój ojciec winien nazywać się Uhtred z Englalandu.

Jednak w roku Pańskim 911 nie było Englalandu. Istniały Wessex, Mercja, Anglia Wschodnia i Northumbria, a gdy zima tamtego roku przechodziła w posępną wiosnę, przebywałem właśnie na granicy Mercji i Northumbrii, w gęstych lasach na północ od rzeki Maerse. Było nas trzydziestu ośmiu, wszyscy na koniach, wszyscy czekaliśmy pośród огоłoconych przez zimę gałęzi lasu na wzgórzu. Pod nami leżała dolina, gdzie niewielki bystry strumień płynął na południe, a w cienistych wąwozach utrzymywał się szron. Dolina świeciła pustkami, chociaż dopiero co sześćdziesięciu pięciu jeźdźców pogalopowało wzdłuż potoku na południe i zniknęło w miejscu, gdzie dolina i woda skracają ostro na zachód.

– Już niedługo – rzekł Raedwald.

Powiedział tak tylko z powodu zdenerwowania, a ja nie odpowiedziałem. Sam odczuwałem niepokój, ale starałem się tego nie okazywać. Wyobrażałem sobie, jak na moim miejscu

postępowałby ojciec. Przygarbiony i zasępiony, siedziałby w siodle nieruchomo, więc i ja przygarbiłem się i utkwilem wzrok w dolinie. Dotknąłem rękojeści miecza.

Nazywał się Kruczy Dziób. Przypuszczam, że wcześniej nosił inne miano, należał bowiem do Sigurda Thorrsona, który musiał nadać mieczowi imię, ale nigdy go nie poznałem. Początkowo sądziłem, że miecz zwie się Vlfberht, ponieważ właśnie to dziwne miano wypisano na klinkrze dużymi literami: „†VLFBERHT†”.

Przyjaciół mojego ojca Finan powiedział mi, że Vlfberht to imię frankijskiego płatnerza, który wykuł miecz. Podobno wytwarza on najznakomitsze i najdroższe ostrza w całym chrześcijańskim świecie. Spytałem Finana, jak możemy odnaleźć Vlfberhta i kupić więcej mieczy, ale Finan mówi, że Vlfberht jest czarodziejskim płatnerzem, który pracuje potajemnie. Kowal zostawia palenisko na noc, a gdy wraca nazajutrz, stwierdza, że kuźnię odwiedził Vlfberht i zostawił miecz wykuty w ogniu piekielnym, przesycony smoczą krwią. Nazwałem ten miecz Kruczym Dziobem, ponieważ na proporcu Sigurda widniał kruk. Właśnie tym mieczem walczył ze mną Sigurd, gdy rozprułem mu brzuch saksem. Doskonale pamiętam cios mieczem, pamiętam, jak jego zbroja nagle ustąpiła, a w oczach mojego przeciwnika pojawił się wyraz zrozumienia, gdy pojął, że umiera. Pamiętam, z jakim uniesieniem przeciągnąłem saksem, by wyłączyć z niego życiodajną krew. Działo się to w zeszłym roku podczas bitwy pod Teotanheale, kiedy wygnaliśmy Duńczyków ze środkowej Mercji. Podczas tamtej bitwy mój ojciec zabił Kanuta Ranulfsona, ale również wtedy ojca ranił miecz Kanuta, Lodowa Furia.

Kruczy Dziób był dobrym mieczem – uważałem, że przeżyłby nawet Oddech Węża, miecz mego ojca. Mimo długiej

klingi Kruczy Dziób był zadziwiająco lekki, inne ostrza kru-
szyły się o niego. To była broń wojownika i miałem ją ze sobą
w lesie na wzgórzu nad oszronioną doliną, gdzie płynął rwą-
cy strumień. Prócz Kruczego Dzioba wziąłem też swój saks,
Attor. Attor znaczy trucizna. Był to krótki miecz, przydatny
w walce w tloku, w murze tarcz. Attor potrafił kęsać i właś-
nie jego jad zabił Sigurda. Miałem też okrągłą tarczę z wy-
malowanym wilczym łbem, godłem naszego rodu. Nosilem
helm z łbem wilka, na skórzaną kamizelę wdziałem frankijską
kolczugę, a na to wszystko płaszcz z niedźwiedziego futra.
Jestem Uhtred Uhtredson, prawowity pan na Bebbanburgu,
a tego dnia ogarniało mnie zdenerwowanie.

Stałem na czele grupy wojów. Miałem tylko dwadzieścia
jeden lat, niektórzy z ludzi czekających za moimi plecami byli
niemal dwa razy starsi, ale jako syn pana Uhtreda dowodziłem.
Większość ludzi ukryła się wśród drzew, przy mnie stali tylko
Raedwald i Sihtric. Obaj starsi ode mnie, obaj mieli służyć
mi radą czy raczej powstrzymywać przed głupim uporem.
Sihtrica, jednego z zaufanych mego ojca, znałem od zawsze,
natomiast Raedwald służył pani Aethelflaed.

– Może nie nadciągają – powiedział Raedwald.

Coś mi mówiło, że ten zrównoważony, ostrożny człowiek
liczył na to, iż nieprzyjaciel się nie pojawi.

– Nadciągają – warknął Sihtric.

I tak się stało. Z północy runęła banda jeźdźców z tarczami,
włóczyniami, toporami i mieczami. Norwegowie. Pochyliłem
się w przód na siodle, usiłując zliczyć jeźdźców, którzy dali
koniom ostrogę nad strumieniem. Trzy grupy? Co najmniej stu
ludzi, wśród nich Haki Grimmson, w każdym razie widziałem
jego proporzec z okrętem.

– Stu dwudziestu – stwierdził Sihtric.

– Więcej – rzucił Raedwald.

– Stu dwudziestu – powtórzył beznamiętnie Sihtric.

Stu dwudziestu jeźdźców ścigało sześćdziesięciu pięciu, którzy chwilę wcześniej przejechali doliną. Stu dwudziestu pod proporcem Hakiego Grimmsona mającym przedstawiać czerwony okręt na białym morzu, ale czerwony barwnik wełny wyblakł i zbrązował, poplamiał białe morze, przez co zdawało się, że okręt z wysokim dziobem krwawi. Chorąży jechał za roslym wojownikiem na masywnym karym koniu, więc domyśliłem się, że ów potężny woj to Haki. Ten Norweg osiadł w Irlandii, skąd przepłynął się do Brytanii, znalazł ziemię na północ od rzeki Maerse i postanowił się wzbogacić najazdami na południe, w głąb Mercji. Haki zabierał niewolników, bydło i majątek, przypuścił nawet szturm na rzymskie mury Ceasteru, ale garnizon pani Aethelflaed bez trudu go odparł. Krótko mówiąc, Haki się naprzykrzał, dlatego też ruszyliśmy na północ i przekroczywszy Maerse, ukryliśmy się wśród огоłoconych przez zimę drzew, skąd patrzyliśmy, jak jego grupa wojenna galopuje na południe zamarzniętą drogą wzdłuż strumienia.

– Powinniśmy... – zaczął Raedwald.

– Jeszcze nie – przerwałem mu i dotknąłem Kruczego Dzio-
ba, tak by poruszył się w pochwie.

– Jeszcze nie – zgodził się Sihtric.

– Godricu! – zawołałem, a mój dwunastoletni giermek Godric Grindanson spiął konia i oderwał się od czekających. –
Włócznia – rozkazałem.

– Panie – powiedział Godric, podając mi długą na dziewięć
stóp jesionową włócznię z ciężkim żelaznym grotem.

– Jedź za nami – poleciłem mu. – W sporej odległości.
Masz róg?

– Tak, panie.

Godric pokazał instrument. Jego odgłos mógł wezwać na pomoc sześćdziesięciu pięciu ludzi, jeśli sprawy przybrałyby zły obrót, chociaż wątpiłem, czy mogliby nam pomóc, gdyby posepni jezdni Hakiego zaatakowali mój mały oddział.

– Jeśli zsiądą z koni, pomożesz je przepłoszyć – zwrócił się do mojego giermka Sihtric.

– Powiniennem trzymać się blisko... – zaczął chłopak i niewątpliwie chciał prosić, by pozwolili mu zostać u mego boku, a tym samym włączyć się do walki, ale urwał w pół zdania, bo Sihtric zdzielił go w twarz wierzchem dłoni.

– Pomożesz przepłoszyć konie – warknął Sihtric.

– Tak jest – odparł młodzik. Z jego wargi sączyła się krew.

Sihtric poluzował miecz w pochwie. Jako chłopiec służył mojemu ojcu i z pewnością pragnął wtedy walczyć u boku dorosłych, ale nie było rychlejszej śmierci dla młodzieńca niż walka z zaprawionymi w bojach Norwegami.

– Jesteśmy gotowi? – zwrócił się do mnie niecierpliwie.

– Zabijmy drani – powiedziałem.

Banda Hakiego skręciła na zachód i zniknęła nam z oczu. Jechali wzdłuż strumienia wpadającego do dopływu Maerse około dwóch mil od ostrego skrzyżowania doliny na zachód. Oba strumienie łączyły się pod pagórkami, właściwie podłużnym trawiastym kopcem podobnym do tych, jakie usypywali dawni ludzie. Właśnie tam Haki miał umrzeć lub zostać pokonany, co ostatecznie wychodziło na to samo.

Daliśmy koniom ostrogi, zjechaliśmy ze wzgórza, ale nie spieszyłem się, nie chciałem bowiem, by ludzie Hakiego odwrócili się i nas dostrzegli. Po dotarciu do strumienia skręciliśmy na południe. Nie galopowaliśmy, wręcz zwolniłem, kiedy Sihtric pojechał przodem na zwiady. Patrzyłem, jak

zsiada z konia i znajduje miejsce, skąd roztaczał się widok na zachód. Siedział przykucnięty i ostrzegał nas gestem dłoni, dopiero po pewnym czasie podbiegł do swego konia i machnął nam, żebyśmy dołączyli. Obdarzył mnie szerokim uśmiechem.

– Zatrzymali się w dolinie – wyseplenił, ponieważ w bitwie pod Teotanheale duńska włócznia pozbawiła go przednich zębów. – Potem przygotowali tarcze.

Wcześniej Norwegowie jechali za nami z tarczami na plecach, ale Haki najwyraźniej spodziewał się kłopotów u wylotu doliny, więc przygotował ludzi do walki. Nasze tarcze trzymaliśmy już w pogotowiu.

– Na końcu doliny zsiądą z koni – stwierdziłem.

– I zewrą tarcze.

– Czyli nie ma pośpiechu – dokończyłem z uśmiechem.

– Może oni się pospieszą – zasugerował Raedwald. Niepokoił się, że walka może się zacząć bez nas.

– Czekaj na nich sześćdziesięciu pięciu Sasów – powiedziałem, kręcąc głową. – Haki może i ma przewagę liczebną, ale nie traci czujności.

Norwegowie mogli mieć prawie dwa razy więcej wojowników niż czatujący Sasi, ale ci ostatni zajęli pozycję na wzgórzu i już zwarli tarcze. Haki musiał nakazać swoim ludziom zejście z koni w sporej odległości, by nie zostali zaatakowani, gdy tworzyli mur tarcz. Dopiero wtedy, po odprowadzeniu koni, mogli ruszyć, a natarcie musiało odbywać się powoli. Walka w murze tarcz wymaga olbrzymiej odwagi, kiedy czujesz oddech nieprzyjaciela, ostrza świszczą i dżgają. Haki nacierałby powoli, pewny swoich sił, ale uważałby na ewentualną saską zasadzkę. Nie mógł sobie pozwolić na stratę ludzi. Mógł liczyć na rozstrzygnięcie walki na swoją korzyść

w miejscu, gdzie strumień wpadał do rzeki, ale z pewnością nie zamierzał tracić czujności.

Norwegowie z Irlandii przenikali na teren Brytanii. Finan, towarzysz mojego ojca, twierdził, że siła irlandzkich klanów była zbyt wielka, toteż Norwegowie zostali przykuci do wschodniego wybrzeża Irlandii. Jednak po tej stronie morza, na północ od Maerse i na południe od szkockich królestw, rozciągała się dzika, niepodbita kraina, więc ich okręty przemierzały fale i wojownicy osiedlali się w dolinach Kumbrii. Nominalnie Kumbria należała do Northumbrii, ale duński król w Eoferwicu przychylnie patrzył na nowo przybyłych. Duńczycy obawiali się rosnącej potęgi Sasów, a Norwegowie z Irlandii byli waleczni i mogli pomóc Duńczykom w utrzymaniu władzy. Haki przybył po prostu jako ostatni. Liczył na wzbogacenie się kosztem Mercji i właśnie z tego powodu posłano nas, abyśmy go zniszczyli.

– Pamiętajcie! – zawołałem do swoich. – Tylko jeden z nich ma pozostać przy życiu.

Jednego zostaw przy życiu, tak zawsze radził mój ojciec. Niech jeden człowiek zanieś złe nowiny do domu i odstraszy innych, choć podejrzewałem, że przybyli tu wszyscy ludzie Hakiego, co znaczyło, że ten, który przeżyje, o ile taki będzie, przekaże wieści o klęsce wdowom i sierotom. Kapłani mówią nam, że winniśmy kochać nieprzyjaciół, ale nie okazywać im litości, i Haki na żadną litość nie zasłużył. Plądrował ziemię wokół Ceasteru, a tamtejszy garnizon, zdolny przetrwać oblężenie, ale niemogący walczyć z oblegającymi i jednocześnie wysłać wojowników za Maerse, poprosił o wsparcie. My byliśmy owym wsparciem, jechaliśmy na zachód wzdłuż strumienia, który stawał się coraz szerszy i płytszy, woda nie rwała już po kamieniach. Karłowate olchy były tu grubsze,

ich nagie gałęzie, smagane nieustannym wichrem znad morza, wykrzywiały się na wschód. Minęliśmy spalone gospodarstwo, gdzie nie zostało nic prócz poczerńiałych kamieni paleniska. To był najdalej na południe wysunięty przyczółek Hakiego i właśnie to miejsce zaatakowaliśmy w pierwszej kolejności. W ciągu dwóch tygodni od przybycia do Ceasteru spaliliśmy tuzin jego osad, zabraliśmy mu dziesiątki sztuk bydła, zabiłiśmy jego ludzi, braliśmy jego dzieci w niewolę. Teraz Haki sądził, że zapędził nas w kozii róg.

Mój rumak poruszył się, przez co ciężki złoty krzyż wiszący mi na szyi uderzył o pierś. Powiodłem wzrokiem na południe, gdzie na ciemniejącym niebie srebrzyła się przesłonięta chmurami tarcza słoneczna, i zmówiłem cichą modlitwę do Wodana. Jestem w połowie poganinem, może mniej niż w połowie, ale nawet mojemu ojcu zdarzało się modlić do chrześcijańskiego boga. „Jest wielu bogów – powtarzał mi nieraz. – Nigdy nie wiadomo, który akurat czuwa, więc módl się do wszystkich”.

Modliłem się zatem do Wodana. Jestem z twojej krwi – mówiłem – więc mnie ochraniaj. Naprawdę byłem z jego krwi, albowiem nasz ród wywodził się od Wodana. Bóg ten zstąpił na ziemię i położył się z kobietą, ale działo się to na długo, zanim nasi ludzie przemierzyli morze i zajęli Brytanię. „On nie położył się z kobietą – słyszałem wzdorczy głos ojca, gdy jechałem przed siebie. – Porządnie ją wychędożył, a w takiej chwili się nie leży”. Zastanawiałem się, czemu bogowie nie zstępują już na ziemię. Gdyby tak było, znacznie łatwiej by się wierzyło.

– Nie tak szybko! – zawołał Sihtric, a ja przestałem rozmyślać o bogach chędożących dziewczęta i zobaczyłem, że trzech naszych młodszych ludzi wysforowało się do przodu. – Cofnąć

się – rozkazał, po czym odwrócił się do mnie z uśmiechem. – Już niedaleko, panie.

– Powinniśmy ruszyć na zwiady – doradził Raedwald.

– Wystarczy zwiadów – odparłem. – Jedziemy dalej.

Wiedziałem, że Haki każe swoim ludziom zsiąść z koni i zaatakować czekający mur tarcz. Konie nie pogalopują na tarcze, ale odbiegają na bok, więc ludzie Hakiego utworzą własny mur tarcz, by zaatakować Sasów czekających na długim, niskim kopcu. My dobierzemy się do nich od tyłu, a konie ruszą na tylny szereg muru, który nigdy nie jest tak mocny jak przedni. Na froncie są zwarte tarcze i błyszcząca broń, na tyłach zaczyna się panika.

Skręciliśmy nieco na północ, przemierzyliśmy grzbiet wzgórza i wtedy ich zobaczyliśmy. Słońce przebiło się przez chmury, oświetliło chrześcijańskie proporce na szczycie wzgórza, błysnęły ostrza. Sześćdziesięciu pięciu ludzi, za ledwie sześćdziesięciu pięciu, zwarty mur tarcz w dwóch szeregach na wzgórzu, pod proporcami z krzyżami. Między nimi a nami dopiero tworzył się mur tarcz Hakiego, a najbliżej nas, po prawej, jego giermkowie pilnowali wierzchowców.

– Raedwaldzie! – krzyknąłem. – Trzech ludzi do przepłoszenia koni!

– Panie – odparł posłusznie.

– Jedź z nimi, Godricu! – zawołałem do swego giermka.

Dźwignąłem ciężką jesionową włócznię. Norwegowie wciąż jeszcze nas nie dostrzegli. Wiedzieli tylko, że grupa jezdnych z Mercji zapuściła się w głąb terytorium Hakiego, Norwegowie ruszyli za nimi, żeby ich wybić, ale mieli się przekonać, że zostali zwabieni w zasadzkę.

– Zabić ich! – wrzasnąłem i spiąłem konia.

Zabić ich. O tym właśnie śpiewają poeci. Nocą, w komnacie, gdy pod powalą gęstnieje dym z paleniska, ale leje się do rogów, harfista brzdąka w struny i niosą się pieśni bitewne. To pieśni naszego rodu, naszego ludu, dzięki nim pamiętamy o przeszłości. Poetę nazywamy bardem. Bard to ktoś, kto nadaje rzeczom kształt. Poeta kształtuje naszą przeszłość, abyśmy pamiętali o chwale naszych przodków, o tym, jak pozyskali dla nas ziemię, kobiety, bydło i chwałę. Pomyślałem, że nie powstanie żadna norweska pieśń o Hakim, będzie to bowiem saska pieśń o saskiej wiktorii.

Ruszyliśmy na nich. Mocno dzierżyłem włócznię, tarczę tuż przy ciele, Hearinging, mój dzielny rumak, tłukł ziemię kopytami, po mojej lewej i prawej galopowały konie, sterczały nisko włócznie, końskie oddechy parowały, nieprzyjacieli odwrócił się zdumiony, a ludzie z tyłu muru nie mieli pojęcia, co począć. Niektórzy pobiegli do swych koni, inni próbowali zewrzeć nową formację i stawić nam czoło, ja jednak ujrzałem szczeliny i pojąłem, że są już martwi. Dalej, na kopcu, czekający Sasi dosiadali już koni, ale to my mieliśmy rozpocząć rzeź.

I rozpoczęliśmy.

Utkwiłem wzrok w wysokim wojowniku z czarną brodą, w kunsztownej kolczudze i hełmie ozdobionym orlimi piórami. Człowiek ten wołał, przypuszczalnie nakazywał ludziom połączyć tarcze z jego własną, na której widniał orzeł z rozpostartymi skrzydłami, ale dostrzegł mój wzrok, zrozumiał, co go czeka, przygotował się, uniósł orlą tarczę, zamierzył się mieczem, aż pojąłem, że chce zadać cios Hearingingowi, licząc na to, że oślepi mego konia lub wybije mu zęby. Zawsze walczyłem z koniem, nie z jeźdźcem. Zrań albo zabij wierzchowca, wtedy jeździec padnie twoim łupem. Mur tarcz pękał, pierzchał w panice, usłyszałem krzyki, gdy moi ludzie próbowali ścigać

uciekających. Naparłem na włócznię, wycelowałem, dotknąłem Hearinga lewym kolaniem i skręcił w lewo w chwili, gdy brodacz zadał cios. Jego miecz ciął Hearinga w pierś, popłynęła krew, ale to nie było zabójcze cięcie, nie mogło zrobić koniowi większej krzywdy, moja włócznia przecięła tarczę brodacza, wierzbowe deszczulki trzasnęły, grot włóczni rozdarł kolczugę. Czując, jak mostek tamtego się łamie, odrzuciłem jesionową włócznię, dobyłem Kruczy Dziób, zawróciłem Hearinga, aby wbić Kruczy Dziób w kręgosłup innego wojownika. Wykuta przez czarownika klinga przeszła przez kolczugę jak przez korę drzewa. Hearing runął między dwóch wojów, obu przewracając na ziemię, ponownie zawróciliśmy, wokół nas roilo się od spanikowanych ludzi masakrowanych przez konnych, z kopca zjechali kolejni, wszyscy nasi ludzie nieśli śmierć, krzyczeli, furkotały w górze porporce.

– Merewalhu! – rozległ się ostry okrzyk. – Zatrzymaj konie.

Garstka Norwegów dobiegła do wierzchowców, ale zaprawiony w boju Merewalh poprowadził swoich, by ich wytłuc. Haki nadal żył, otoczony przez trzydziestu–czterdziestu wojów, którzy utworzyli mur tarcz wokół swego pana. Mogli jedynie patrzeć na śmierć towarzyszy. Kilku naszych też padło. Widziałem trzy konie bez jeźdźców oraz wierzchowca, który dogorywał w kałuży posoki, ryjąc ziemię kopytami. Skręciłem w tamtą stronę i ciąłem wojownika, który właśnie wstał, oszołomiony, więc jeszcze bardziej ogłuszyłem go ciosem w hełm, aż runął ponownie. Po mojej lewej ryknął wojownik, wymachując oburącz toporem, Hearing skręcił, zwinny jak kot, obuch ześlizgnął się po mojej tarczy, ponownie zawróciliśmy, Kruczy Dziób ciął tylko raz i zobaczyłem jasną krew. Krzyczałem w uniesieniu, wołałem swoje imię, aby umierający wiedzieli, kto sprowadził na nich zagładę.

Spiąłem konia i pognałem dalej, zakląłem pod nosem i zacząłem wypatrywać siwka zwanego Gast. W końcu dostrzegłem go pięćdziesiąt-sześćdziesiąt kroków od siebie. Dosiadająca go osoba, z mieczem w dłoni, galopowała w kierunku ludzi osłaniających Hakiego tarczami, ale trzy inne konie zabiegły drogę siwkowi. Po chwili musiałem jednak zapomnieć o Gaście, ponieważ jeden z nieprzyjaciół nagle zadał mi cios mieczem znad głowy. Nie miał już hełmu, połowę twarzy zalała mu krew. Na jego tułowiu też widziałem posokę, ale oblicze miał posępne, a oczy bezlitosne. Ruszył na mnie, grożąc mi śmiercią, więc przywitałem jego miecz Kruczym Dziobem, klinga tamtego pękła na dwie części, z których górna utkwiała w łuku mego siodła. Dolna połowa ostrza przecięła mój prawy but, poczułem napływającą krew, gdy wróg się zatoczył. Kruczym Dziobem roztrzaskałem mu czaszkę, pognałem dalej i ujrzałem, że Gerbruht zsiadł z konia i okłada toporem człowieka, który był już martwy, albo niewiele mu do tego brakowało. Gerbruht zdążył wypatroszyć ofiarę, teraz najwyraźniej postanowił oddzielić mięso od kości, z wściekłym rykiem wymachiwał ciężkim ostrzem, na trawę tryskała krew, padały strzępy ciała, kawałki kolczugi i odłamki kości.

– Co robisz?! – zawołałem.

– Nazwał mnie grubasem! – odkrzyknął Gerbruht, Fryz, który dołączył do nas zimą. – Ten psi syn nazwał mnie grubasem!

– Jesteś gruby – zauważyłem, zgodnie z prawdą.

Gerbruht miał brzuch jak świnia, nogi niczym pnie, potrójny podbródek, był jednak obdarzony ogromną siłą. Jako wróg na polu bitwy budził grozę, za to dobrze było go mieć u boku w murze tarcz.

– Więcej nie nazwie mnie grubasem – warknął Gerbruht, po czym przeciął toporem czaszkę nieboszczyka, rozplatając twarz i odsłaniając mózg. – Chuderlawy sukinsyn.

– Za dużo jesz – stwierdziłem.

– To dlatego, że stale dręczy mnie głód.

Zawróciłem konia i ujrzałem, że walka dobiegła końca. Haki i jego towarzysze z tarczami nadal żyli, ale zostali zdziśiatkowani i otoczeni. Walczący po naszej stronie Sasi zsiadali z koni, aby dobić rannych i ogołocić ciała z kolczug, broni, srebra i złota. Nieprzyjaciele, wzorem wszystkich ludzi z Północy, lubili nosić pierścienie naramienne, by chępić się sprawnością bitewną. Na pociętej mieczami, przesiąkniętej krwią opończy usypaliśmy spory stos z obręczy, brosz, ozdobnych pochw i naszyjników. Zabitemu brodaczowi zabrałem złoty pierścień naramienny z wyrytymi kanciąstymi literami Norwegów, przeciągnąłem go przez lewy przegub, by dołączyć do innych. Sihtric uśmiechał się szeroko. Miał jeńca, chłopca, który był już prawie mężczyzną.

– Nasz jedyny ocalały, panie – oznajmił.

– Nada się – odparłem. – Odetnij mu dłoń mieczową, daj konia i może jechać.

Haki nie spuszczał nas z oczu. Podjechałem do garstki ocalałych Norwegów i uważnie przyjrzałem się temu krępemu brodaczowi z bliznami na twarzy. W zamęcie bitewnym hełm zsunął mu się z głowy, a skołtunione włosy pociemniały od krwi. Uszy sterczały mu jak ucha dzbana. Haki buńczucznie odwzajemnił moje spojrzenie. Na kolczudze na piersi nosił złoty młot Thora. Wokół Norwega naliczyłem dwudziestu siedmiu wojów, którzy zwarli krąg, wystawiając przed siebie tarcze.

– Zostań chrześcijaninem, a może zachowasz życie! – zwołałem do niego po duńsku.

Haki zrozumiał, chociaż wątpię, by był to jego ojczysty język. Na moją propozycję zaśmiał się i splunął. Nie miałem nawet pewności, czy powiedziałem mu prawdę, choć wielu pokonanym darowano życie, jeśli zgodzili się przyjąć chrzest. Decyzja nie należała do mnie, lecz do osoby na siwku imieniem Gast. Odwróciłem się do kręgu jeźdźców, którzy otoczyli Hakiego i jego ludzi. Postać na siwym koniu zerknęła na mnie i rzuciła:

- Hakiego weźcie żywego, resztę zabić.

Nie trwało to długo. Większość najwaleczniejszych Norwegów już nie żyła, a przy Hakim trwała zaledwie garstka doświadczonych wojowników, resztę stanowili młodzicy, którzy krzyczeli, że się poddają, ale i tak poszli pod nóż. Przyglądałem się rzezi. Merewalh, zacny człowiek, który porzucił służbę u pana Aethelreda i stanął przy Aethelflaed, kierował atakiem i to właśnie on wyciągnął Hakiego ze stosu zakrwawionych ciał, odebrał mu miecz i tarczę, po czym kazał klęknąć przed siwkiem.

Haki podniósł wzrok. Słońce stało nisko na zachodzie, za postacią na siwym koniu, oślepiając Hakiego, ale wyczuł on nienawiść i wzgardę patrzących na niego oczu. Haki przekręcił głowę, tak by jego oblicze znalazło się w cieniu jeźdźca, może więc widział frankijską zbroję, wypolerowaną piaskiem, aż lśniła jak srebro. Widział biały wełniany płaszcz, obsyty jedwabistym zimowym futrem łasicy. Widział wysokie buty zszyte białym sznurkiem, długą pochwę zdobioną polerowanym srebrem, a gdyby ośmielił się spojrzeć wyżej, zobaczyłby zimne niebieskie oczy, surową twarz okoloną złocistymi włosami pod hełmem wypolerowanym na taki sam wysoki połysk jak zbroja. Hełm ze srebrnym otokiem był zwieńczony srebrnym krzyżem.

- Zabrać mu zbroję - rozkazała biało odziana osoba na siwku.

– Tak, pani – odparł Merewalh.

Panią była Aethelflaed, córka Alfreda, niegdyś króla Wessexu. Poślubiła Aethelreda, pana Mercji, lecz wszyscy w Wessexie i Mercji wiedzieli, że przez lata była kochanką mego ojca. To właśnie Aethelflaed sprowadziła swoich ludzi na północ, by wzmocnić garnizon Ceasteru, i to ona obmyśliła zasadzkę, dzięki której Haki klęczał teraz przed jej koniem.

– Dobrze się spisałeś – zwróciła się do mnie, niemal niechętnie.

– Dziękuję, pani – odparłem.

– Zawieszysz go na południe – poleciła, wskazując Hakięgo. – Może umrzeć w Gleawecestre.

Decyzja wydała mi się dziwaczna. Czemu nie pozwolić mu umrzeć tutaj, na wypłowiałej, zimowej trawie?

– Nie wrócisz na południe, pani? – spytałem.

Aethelflaed najwyraźniej uznała pytanie za impertynencję, ale odpowiedziała:

– Mam tu mnóstwo pracy. Zawieszysz go. – Gdy zacząłem się oddalać, powstrzymała mnie dłonią w rękawicy. – Dopilnuj, aby dotrzeć na miejsce przed Dniem Świętego Kutberta. Słyszysz?

Posłusznie pochylilem głowę, potem związaliśmy Hakiemu ręce na plecach, wsadziliśmy go na marnego konia i ruszyliśmy w drogę powrotną do Ceasteru, gdzie dotarliśmy po zmroku. Ciała Norwegów zostawiliśmy tam, gdzie padli, na pastwę kruków, ale naszych poległych, w liczbie zaledwie pięciu, zabraliśmy ze sobą. Wzięliśmy wszystkie wierzchowce Norwegów, załadowaliśmy na nie zdobyczną broń, zbroje, kolczugi, ubrania i tarcze. Zwycięsko powiewając proporcem odebranych Hakiemu, jechaliśmy za sztandarem pana Aethelreda przedstawiającym białego konia, chorągwią

Świętego Oswalda oraz osobliwą flagą Aethelflaed z białą gęsią dzierżącą miecz i krzyż. Gęś była symbolem Świętej Werburgi, która w cudowny sposób uwolniła pole zboża od stada gęsi, choć nie pojmowałem, czemu pracę, jaką mogło wykonać dziesięcioletnie dziecko obdarzone silnym głosem, uważano za cud. Nawet trzynogi pies mógł przepędzić te gęsi z pola, ale nie ośmieliłbym się powiedzieć tego Aethelflaed, która świętą płoszącą gęsi darzyła najwyższą estymą.

Burh Ceaster wzniesli Rzymianie, stąd kamienne mury, w odróżnieniu od naszych saskich grodów z murami z ziemi i drewna. Wjechaliśmy w bramę, nad którą znajdował się plac, minęliśmy tunel oświetlony pochodniami, aż dotarliśmy do głównej ulicy, biegnącej prosto jak strzała między wysokimi kamiennymi domami. Tętent końskich kopyt odbijał się echem od murów, potem rozbrzmiały dzwony kościoła Świętego Piotra na cześć powrotu córki króla Alfreda.

Aethelflaed i większość jej ludzi udali się do kościoła, by podziękować za zwycięstwo, potem zebrawi się w wielkiej sali w samym centrum Ceasteru. Sihtric i ja umieściliśmy Hakiego w niewielkiej kamiennej chacie, ale nie rozwiąaliśmy mu rąk na noc.

– Mam złoto – powiedział po duńsku jeniec.

– Za łoże posłuż ci siano, zamiast piwa dostaniesz szczyry – rzucił Sihtric. Zatrzasnęliśmy drzwi i zostawiliśmy dwóch ludzi na straży. – Czyli jedziemy do Gleawecestre? – zwrócił się do mnie w drodze do sali.

– Tak mówi ona.

– Musisz być szczęśliwy.

– Ja?

Sihtric błysnął bezzębny uśmiechem.

– W tawernie Pod Snopem Pszenicy jest ta ruda.

– Jedna z wielu, Sihtricu – odparłem wyniośle. – Jedna z wielu.

– Poza tym twoja dziewczyna na farmie pod Cirrenceastre – dodał.

– To wdowa – zauważyłem, starając się nadać głosowi jak najwięcej godności. – Naszą chrześcijańską powinnością jest ochranianie wdów.

– Nazywasz to ochroną? – Zaśmiał się. – Ożenisz się z nią?

– Oczywiście, że nie. Ożenię się dla ziemi.

– Powinieneś kogoś poślubić – stwierdził Sihtric. – Ile masz lat?

– Chyba dwadzieścia jeden.

– Już dawno powinieneś mieć żonę – powtórzył. – Co z Aelfwynn?

– Co z nią? – spytałem.

– To ładna klaczka – powiedział Sihtric. – Podejrzewam, że dobrze galopuje.

Pchnął ciężkie wrota i weszliśmy do sali oświetlonej świecami z knotami z sitowia. W topornym, kamiennym palenisku buzował ogień, od którego popękała rzymska podłoga. Załoga garnizonu i ludzie przybyli na północ z Aethelflaed nie mieścili się przy stołach, więc niektórzy jedli, kucając na ziemi. Ja jednak dostałem miejsce przy głównym stole, nieopodal Aethelflaed. Po obu stronach pani siedzieli dwaj kapłani, z których jeden zaintonował długą modlitwę po łacinie i dopiero po niej mogliśmy jeść.

Aethelflaed budziła we mnie lęk. Miała zaciętą twarz, choć niektórzy twierdzili, że w młodości była piękna. Wtedy, w 911 roku, musiała mieć czterdzieści lat lub więcej, w złotych włosach widniały pasma siwizny. Spojrzenie jej intensywnie błękitnych oczu mogło wytrącić z równowagi

największych śmiałków. Aethelflaed patrzyła zimno, z rozważką, jak gdyby czytała w twoich myślach i nimi gardziła. Nie ja jeden bałem się Aethelflaed. Jej rodzona córka Aelfwynn chowała się przed matką. Lubilem tę dziewczynę, roześmianą trzpiotkę. Była nieco młodsza ode mnie, w dzieciństwie często spędzaliśmy razem czas i zdaniem wielu powinniśmy się pobrać. Nie wiem, czy Aethelflaed uważała to za dobry pomysł. Chyba mnie nie lubiła, choć trzeba przyznać, że nie lubiła większości ludzi. Mimo chłodnego usposobienia mieszkańcy Mercji ją wielbili. Jej mąż Aethelred, pan Mercji, był formalnym władcą kraju, ale ludzie kochali jego żonę, z którą nie dzielił łoża.

- Gleawecestre - odezwała się do mnie teraz.

- Tak, pani.

- Zawieziesz wszystkie łupy. Użyj wozów. Zabierz też jeńców.

- Tak, pani.

Jeńcami były głównie dzieci, które zabraliśmy z osad Hakiego w pierwszych dniach najazdu. Miały zostać sprzedane w niewolę.

- Musisz dotrzeć na miejsce przed Dniem Świętego Kutberta - powtórzyła. - Zrozumiałeś?

- Przed Dniem Świętego Kutberta - odparłem posłusznie.

Pani posłała mi długie spojrzenie. Siedzący obok niej kapłani patrzyli na mnie z podobną wrogością.

- Zabierzesz też Hakiego - ciągnęła.

- Wezmę Hakiego.

- Powiesz go przed komnatą mojego męża.

- Zrób to powoli - dodał jeden z kapłanów.

Człowieka można powiesić na dwa sposoby, szybko albo powoli, w męczarniach.

– Tak, ojciec – odpowiedziałem.

– Najpierw jednak pokaż go ludowi – rozkazała Aethelflaed.

– Naturalnie, pani – odrzekłem, po czym się zawahałem.

– Co takiego? – Moja niepewność nie uszła jej uwadze.

– Ludzie zechcą wiedzieć, dlaczego tu zostałeś, pani.

Aethelflaed obruszyła się, a drugi z kapłanów zmarszczył czoło.

– Nic im do tego... – zaczął, lecz Aethelflaed uciszyła go gestem dłoni.

– Wielu Norwegów opuszcza Irlandię i usiłuje osiedlić się tutaj – mówiła ostrożnie. – Należy ich powstrzymać.

– Klęska Hakiego wzbudzi w nich lęk – zauważyłem, ona jednak zlekceważyła mój nieudolny komplement.

– Ceaster powstrzymuje ich przed wykorzystaniem rzeki Dee, ale Maerse stoi otworem – wyjaśniła. – Wybuduję burh na jej brzegu.

– Wyborny koncept, pani – pochwaliłem, co skwitowała tak pogardliwym spojrzeniem, że spiekłem raka.

Aethelflaed machnęła ręką na znak, że rozmowa jest zakończona, wróciłem więc do potrawki z baraniny. Kątem oka zerkąłem na panią, obserwowałem zaciśnięte szczęki, gorzko wygięte usta, nie mogłem pojąć, co, na Boga, widział w niej mój ojciec i dlaczego ludzie ją wielbili.

Nazajutrz miałem się od niej uwolnić.

– Ludzie idą za nią, ponieważ, jeśli nie liczyć twojego ojca, tylko ona była gotowa podjąć walkę – wyjaśnił Sihtric.

Jechaliśmy na południe drogą, którą tak dobrze poznałem w ostatnich latach. Biegła wzdłuż granicy między Walią a Mercją, będącą przedmiotem nieustannych sporów pomiędzy

walijskimi królestwami a mieszkańcami Mercji. Walijsczyzy byli, rzecz jasna, naszymi wrogami, ale owa nieprzyjaźń nie wyglądała na taką prostą. Oni również byli chrześcijanami i bez tych walijskich chrześcijan nigdy nie zwyciężylibyśmy pod Teotanheale. Niekiedy, jak pod Teotanheale, walczyli za Chrystusa, ale równie często po prostu grabili, pędząc bydło i niewolników w swoje górskie doliny. Z uwagi na nieustanne najazdy wzdłuż drogi ciągnęły się warowne grody, gdzie ludzie mogli się kryć przed nieprzyjaciółmi i skąd można było wypuszczać się na tychże nieprzyjaciół.

Jechałem na czele trzydziestu sześciu ludzi, z giermkim Godrikiem u boku. Czterech wojów stale podążało z przodu, wypatrując przydrożnej zasadzki, reszta pilnowała Hakiego i dwóch wozów z łupami. Prócz tego strzeżliśmy osiemnaściorga dzieci, mających trafić na targi niewolników, choć Aethelflaed nalegała, aby wcześniej pokazać jeńców mieszkańcom Gleawecestre.

– Ona chce zrobić przedstawienie – powiedział mi Sihtric.

– Owszem! – zgodził się ojciec Fraomar. – Mieszkańcom Gleawecestre daliśmy do zrozumienia, że pokonujemy wrogów Chrystusa. Gleawecestre. – Młody Fraomar był jednym ze spolegliwych kapłanów Aethelflaed, żarliwym i pełnym entuzjazmu. Skinął głową na jadący przed nami wóz pełen zbroi i oręża. – Sprzedamy to, a uzyskane pieniądze pójdą na nowy burh, chwała Bogu.

– Chwała Bogu – wtórowałem skwapliwie.

Wiedziałem, że pieniądze są problemem Aethelflaed. Budowa burhu mającego strzec rzeki Maerse musiała kosztować, a pieniędzy stale brakowało. Jej mąż otrzymywał daniny z ziemi, podatki od kupców i opłaty celne, ale pan Aethelred nienawidził swojej małżonki. Może i kochała Mercję, ale to

Aethelred trzymał rękę na kiesie, a ludzie nie śmieli mu się przeciwstawiać. Nawet teraz, gdy Aethelred leżał chory w Gleawecestre, ludzie składali mu hołdy. Jedyne najodważniejsi i najbogatsi, ryzykując jego gniew, posyłali ludzi i srebro Aethelflaed.

Aethelred umierał. Podczas bitwy pod Teotanheale włócznia ugodziła go w tył głowy, przebiła hełm i zdruzgotła czaszkę. Nikt nie spodziewał się, że przeżyje, a jednak tak się stało, choć krążyły pogłoski, że leżał jak nieżywy, wrzeszczał niczym szalenciec, ślina ciekła mu z ust, podrygiwał albo wyl jak wypatroszony wilk. Cała Mercja czekała na jego śmierć i cała Mercja zastanawiała się, co po niej nastąpi. Nikt o tym nie rozmawiał, przynajmniej nie otwarcie, choć potajemnie nie mówiono o niczym innym.

Ku mojemu zdziwieniu ojciec Fraomar poruszył ten temat już pierwszej nocy. Z powodu wozów i jeńców podróżowaliśmy wolno i zatrzymaliśmy się w gospodarstwie nieopodal Westune. To była świeżo zaludniona część Mercji, bezpieczna dzięki burhowi Ceaster. Wcześniej gospodarstwo należało do Duńczyka, teraz urzędował tu jednooki mieszkaniec Mercji z żoną, czterema synami i sześcioma niewolnikami. Jego dom był marną lepianką z gliny, słomy i drewna, nędzna wiklinowa obora przeciekała, ale całość otaczała solidna palisada z dębowych pni.

– Walijczycy są blisko – powiedział gospodarz, wyjaśniając obecność palisady.

– Nie obronisz się przy pomocy sześciu niewolników – uważałem.

– Odwiedzają mnie sąsiedzi – odparł krótko.

– Pomogli ci ją zbudować?

– Owszem.

Związaliśmy Hakiemu nogi w kostkach, upewniliśmy się, że sznury na przegubach trzymają mocno, potem przykuliśmy go do pługa porzuconego obok gnojówki. Osiemnaścioro dzieci upchnęliśmy w domu pod strażą dwóch ludzi, sami zaś zadowoliliśmy się podwórzem uwalanym gnojem. Rozpaliliśmy ogień. Gerbruht jadł nieprzerwanie, a inny Fryz, Redbad, grał na fletni. Melancholijne dźwięki muzyki niesły się w nocnym powietrzu. Iskry szybowały w górę. Wcześniej padało, ale teraz wiatr rozwiał chmury i ukazały się gwiazdy. Na widok iskier padających na dach lepianki zastanawiałem się, czy strzecha zajmie się ogniem, ale słoma pokryta mchem była wilgotna, więc iskry szybko gasły.

– Nunnaminster – odezwał się nieoczekiwanie ojciec Fraomar.

– Nunnaminster? – spytałem po chwili.

Podobnie jak ja kapłan patrzył na szybujące iskry gasnące na dachu.

– Klasztor w Wintanceasterze, gdzie zmarła pani Aelswith – wyjaśnił, choć niewiele mi to dało.

– Żona króla Alfreda?

– Niech Bóg ma w opiece jej duszę – powiedział kapłan i się przeżegnał. – Wybudowała ten klasztor po śmierci króla.

– Którą jego część? – pytałem zafrapowany.

– Część klasztoru spłonęła po jej śmierci – mówił Fraomar. – Pożar wywołały iskry, które padły na słomianą strzechę.

– Ta strzecha jest zbyt wilgotna – stwierdziłem, wskazując głową dom.

– Oczywiście. – Kapłan patrzył na iskry padające na dach. – Niektórzy twierdzą, że pożar był zemstą diabła. – Przeżegnał się. – Ponieważ pani Aelswith była taka pobożna i mu się wymknęła.

Jak Gra o tron, ale prawdziwa.

„THE OBSERVER”

**Bernard Cornwell tworzy najlepsze
sceny batalistyczne spośród wszystkich
pisarzy, których czytałem.**

GEORGE R.R. MARTIN

Ósmy tom bestsellerowej serii Bernarda Cornwella o losach bohatera Uhtreda z Bebbanburga. Na jej podstawie BBC realizuje serial „Upadek królestwa”.

Rok 911. Władca Mercji Aethelred umiera, nie pozostawiając prawowitego następcy. O sukcesji zdecyduje witan. Uhtred bierze udział w obradach, popiera Aethelflaed – córkę Alfreda Wielkiego, siostrę króla Wessexu Edwarda i wdowę po Aethelredzie.

Czy jednak sascy wojownicy zaakceptują kobietę jako przywódcę?

Więcej o całej serii:

www.wojnywikingow.pl



WYDAWNICTWO
OTWARTE

